

Utopek

Dawno, dawno temu, pradawnych wiekach, w niewielkiej wsi pod Raciborzem, zwanej przez Niemców Brzeza, a przez polski lud Brzesa, mieszkał przewoźnik rzeczny ze swoją żoną. Mieli piękną córkę o złotym sercu, która bardzo lubiła śpiewać, gdyż była wesołą dziewczyną.

Przewoźnik zajmował się przeprowadzaniem ludzi na drugą stronę Odry. W tamtych czasach Odra nie płynęła w tym samym korycie jak teraz. Przepływała ona przez samą wieś, teraz nazywaną Brzezim. Na rzece nie było żadnego mostu, a ludzie często musieli przedostawać się na drugi brzeg. Dlatego w oznaczonym miejscu całymi dniami czekał na nich przewoźnik, a gdy była taka potrzeba, przeprowadzał ich na drugą stronę rzeki.

Dawniej w tym miejscu, na prawym brzegu rzeki, rosły gęste, potężne lasy i bory. Ludzie wycinali drzewa, aby zrobić miejsce dla siebie. Z tego powodu po tej stronie Odry ziemia nie była tak bardzo urodzajna, jak na jej drugim brzegu.

Codziennie, około południa, do swego ojca przewoźnika przychodziła dziewczyna, która przynosiła mu obiad. A jako że miała dobre serce, zawsze przez chwilę rozmawiała z ojcem, aby umilić mu czekanie na ludzi chcących przedostać się na drugą stronę rzeki. Opowiadała mu wtedy coś ciekawego albo wesołego i dopiero potem wracała do domu. A niekiedy siadała zasłuchana w opowieści swego ojca, który potrafił interesująco i mądrze rozwodzić się na różne tematy.

Kiedyś, spoglądając na widoczny w oddali kościółek, ojciec rozpoczął opowieść o dawnych właścicielach tych terenów.

– Widzisz, córuś, to wzgórze?

– Pewnie, tatku, pewnie, że widzę! – odpowiedziała córka.

– A wiesz, że dawno temu stał tam, na tym właśnie wzgórzu, wielki, rycerski zamek? Ale właściciele tego zamku i całego folwarku nie byli bogobojni. Całe dnie, a często i noce, spędzali na zabawach, ucztach i biesiadach. Do kościoła nie chodzili, bo nie chcieli siedzieć razem z pospólstwem w zwykłych ławkach. A innych tam nie było, bo kościółek jest drewniany, mały i ciasny. Mało reprezentacyjny, nie miał specjalnej łoży dla wielmożów...

– To nawet w niedziele na msze nie chodzili? – zdziwiła się dziewczyna.

– Nie musieli chodzić, bo zażądali odprawiania mszy w jednej z komnat swojego zamku. Nawet w wielkie święta kościelne nie mieszały się z pospólstwem... Gdy co roku w maju niedaleko ich pól lud boży w dniu świętego Urbana szedł w pięknej procesji, modląc się o urodzaj, oni biesiadowali i raczyli się winem. Biedni ludzie, zdążający na procesję obok ich zamku słyszeli odgłosy hucznej zabawy. I trwało to tak rok w rok...

– A co się stało z tym zamkiem? – dopytywała się córka. – Nigdy go tutaj nie widziałam.

– Cóż, stała się rzecz straszna i niebywała zarazem. Otóż pewnego dnia, a było to właśnie w dniu świętego Urbana, szlachcianka na zamku czesała swoje piękne, jasne włosy. Stała przy oknie, spoglądała na piękną, zieloną krainę rozciągającą się poniżej jej zamku, otoczonym wianuszkami właśnie zaczynających kwitnąć sosen i lip. Pogoda tego majowego dnia była przepiękna, do jej uszu dolatywał śpiew pielgrzymów idących w procesji z okazji święta. Ale ona bardziej była zainteresowana widokiem przepływającej niedaleko Odry, która niczym błękitna, lśniąca wstążka wiła się nieopodal. Nagle coś poczuła pod palcami. Okazało się, że ze swoich włosów wycesała różową wstążkę. Delikatny materiał wysunął się z jej dłoni i bezgłośnie upadł na podłogę. I właśnie wtedy to się stało...

– Co się stało? Tatku, powiedz, co się stało!?! – niecierpliwie zawołała dziewczyna. Jej oczy pałały blaskiem, a policzki zaróżowiły się z podniecenia i niecierpliwości.

– Gdy tylko wstążka dotknęła ziemi, rozległ się ogromny huk i trzask. – kontynuował stary przewoźnik. – I wszystko na wzgórzu zapadło się pod ziemię! Cały zamek, wszyscy jego mieszkańcy, ludzie i zwierzęta, psy i koty! Wszystko!

– Och, tatku! I nic nie zostało?

– Ludzie powiadają, że właśnie w tym miejscu, na wzniesieniu, wyrosła samotna sosna, która przypomina o tamtych wydarzeniach...

W ten sposób ojciec z córką spędzali wspólnie czas. Jednak pewnego dnia, gdy dziewczyna poszła już do domu, starego przewoźnika odwiedził przystojny, ładnie ubrany i bardzo grzeczny młodzieniec. Nie chciał przepawić się na drugi

brzeg, po prostu usiadł na ławce obok staruszka, spoglądał w wodę i zaczęli rozmawiać. Piękny młodzieniec dość często odwiedzał starca, zawsze siadając na tej samej ławce, gdzie wygodnie rozparty, snuł różne opowieści.

Przewoźnik był zadowolony z odwiedzin nowego znajomego, a nawet polubił tajemniczego młodzieńca. Dzięki pogawędkom staremu człowiekowi czas nad rzeką mijał szybciej i ciekawiej. Zastanawiał się tylko, skąd przychodzi do niego ten młody, wyglądający na inteligentnego, urodziwy człowiek. Przybysz nie mówił nic o sobie, nawet się nie przedstawił, tak więc przewoźnik nie znał nawet jego imienia.

Zauważył jednak, że młodzieniec przychodzi właśnie wtedy, kiedy jego córka przynosi mu obiad. Domyślił się więc, że to właśnie ona jest powodem tych częstych wizyt nieznajomego. Nie protestował jednak, gdyż nie miał nic przeciwko temu, że młodzi się spotykali, ponieważ młodzieniec wyglądał na porządnego człowieka. Spotkania te trwały wiele tygodni. Młodzi często prowadzili ze sobą pogawędki, zaprzyjaźnili się ze sobą i zaczęli spędzać ze sobą coraz więcej czasu.

Pewnego dnia, gdy córka pożegnała swego ojca i poszła do domu, młodzieniec przysiadł obok starca na ławce i wyznał:

– Dobry człowieku, wydaje mi się, że twoja córka jest bardzo porządną dziewczyną.

Starzec nic nie odpowiedział, tylko poprzez kłęby dymu wydobywające się z jego fajki spoglądał na przybysza. Ten kontynuował:

– Bardzo pragnę pojąć twoją córkę za żonę, myślę, że będziemy razem szczęśliwi...

Przewoźnik jeszcze raz zaciągnął się fajką, powoli wydmuchał obłoczek białego dymu, a w związku z tym, że uważał, iż młodzieniec jest odpowiednim kandydatem na męża dla jego córki, odpowiedział:

– Jeśli moja córka ciebie zechce, to i ja nie będę miał nic przeciwko temu.

Młodzieniec uśmiechnął się uszczęśliwiony. Od razu też ustalili datę ślubu, bo przecież nie było na co czekać, skoro młodzi podobali się sobie wzajemnie. Tego dnia przybyszowi nie było spieszno, więc długo gawędził z przyszłym teściem. A ciekawe rzeczy opowiadał.

– A chodzicie czasem do karczmy? – zapytał w pewnym momencie młodzieniec.

– A gdzie tam mam chodzić? – starzec skrzywił się z niesmakiem. – Nie mam czasu na siedzenie po karczmach, a zresztą wolę czas spędzać z żoną i córką. Przecież całymi dniami tu siedzę, to przynajmniej wieczorami mogę z nimi pobyc i pogadać...

– To może i dobrze. – przyznał młodzieniec. – Była bowiem kiedyś w Raciborzu, tam po drugiej stronie rzeki, taka pewna karczma. Odwiedzali ją tylko przyjezdni, którzy nie wiedzieli, co się tam dzieje...

– A cóż takiego może dziać się w karczmie? – zdziwił się przewoźnik.

– Ano, posłuchajcie. Do tej karczmy, o której mówię, zachodzili najczęściej żołnierze idący na front, którzy chcieli się zabawić przed rozpoczęciem swoich przygód w wojennej zawierusze. Pili wtedy na umór, żeby odpędzić strach przed nadchodzącymi dniami. I pili na swoją zgubę.

– Wiadomo, że gorzałka może nieźle zaszkodzić. – potwierdził starzec.

– A i owszem, ale nie o to chodzi. Otóż kiedyś w środku nocy obudził ich bowiem dziwny dźwięk. Ni to tarcie, ni to skrzypienie... Dziwił ich ten dźwięk i zastanawiali się, co też się tam wyrabia. Kilku z nich postanowiło sprawdzić, co ich tak budzi po nocy. Zaszli do głównej izby, a to co zobaczyli, sprawiło, że od razu kilka razy się przeżegnali.

– Cóż takiego zobaczyli? – zdziwił się przewoźnik.

– Bardzo niezwykły widok. Spotykali bowiem dwa kościotrupy obrabiające na tokarce śnieżnobiałą czaszkę.

– Czaszkę? – niedowierzająco spytał stary człowiek.

– Ano czaszkę! – potwierdził młodzieniec. – I to ludzką czaszkę!

– Prawdziwą? – upewnił się jeszcze przewoźnik.

– A jakże! Prawdziwą!

– Ale co to miało znaczyć? – dopytywał przyszły teść.

– A bo to wróżba była! Który z żołnierzy zobaczył te kościotrupy przy pracy, to już nie wracał z frontu, a ich trupy ginęły w tajemniczych okolicznościach i nikt nie wiedział, co się z nimi stało.

– A co się z nimi działo? – prawie szeptem zapytał przewoźnik.

– Nie wiadomo, ale niektórzy twierdzą, że poszły do obróbki na tokarce w karczmie u trupich rzemieślników z Raciborza...

– Straszne rzeczy opowiadacie... – stary człowiek zamyślił się pykając z fajki.

– No, ale na mnie już czas, bo ćma się robi... – powiedział młodzieniec. – Do zobaczenia, dobry człowieku...

– A żegnajcie, żegnajcie... – staruszek powstał, żeby pożegnać się z gościem.

Przewoźnik stał, patrząc za odchodzącym w mrok tajemniczym gościem. Gdy już całkiem zniknął mu z oczu, staruszek chciał jeszcze usiąść i spokojnie dokończyć palenie fajki. Ale w ostatnim momencie się powstrzymał, gdyż zauważył, że cała ławka była mokra. A tam, gdzie jeszcze niedawno siedział młodzieniec, woda wręcz kapała strużkami tworząc na ziemi niemałą kałużę. Z niedowierzaniem ręką dotknął plamę na ławce. Nie było wątpliwości, miejsce było kompletnie mokre.

Włosy ze strachu zjeżyły mu się na głowie, a zimny dreszcz przeszedł po plecach. Był przerażony, gdyż uświadomił sobie, że miał do czynienia z utopcem. A taki utopiek to istota okropna, wprost demoniczna, obdarzona szczególnie złośliwym charakterem. Zrywał sieci rybaków, zatapiał ich łódki oraz powodował powodzie podtapiając okoliczne pola i łąki. Topił też bydło w głębinach stawu, wciągał je do bagna na zatracenie, a i ludzi również wciągał pod wodę. Miał dużo radości widząc, jak topielcy przemieniali się w istoty podobne do niego.

Z tego powodu budził lęk i grozę wśród ludzi zamieszkujących okoliczne wsie, szczególnie tych mieszkających w pobliżu wody. Najbardziej przerażeni byli mieszkańcy Brzezia, Markowic, Babic i Nędzy, gdyż utopiec bardzo upodobał sobie tamtejsze stawy, ale można było odnaleźć ślady jego działalności w całej okolicy Raciborza, we wszystkich tych miejscach, gdzie Odra toczyła swe wody.

Stary przewoźnik smutny i markotny wrócił do domu. Wieczorem wszystko opowiedział swojej żonie.

– I co teraz zrobimy? – zmartwiła się stara kobieta.

– Nie wiem... – zafrasował się przewoźnik. – Wiadomo, że nie można mu odmówić córki, skoro już się zgodziłem, bo paskuda, gdy nie dostanie tego, czego chce, mści się okrutnie...

– Ale przecież nie możemy oddać mu naszej jedynaczki za żonę, bo dobrze wiesz, co ją wtedy czeka... – zmartwiła się żona przewoźnika.

– No to co możemy zrobić? – bezradnie zapytał staruszek.

– Jeszcze nie wiem, ale na pewno nie będę kulała klusek.

– Jakich klusek? O czym ty mówisz, kobieto!?! – staruszek zmartwił się, że ze zgryzoty żonie pomieszało się w głowie.

– Ach, tak mi się przypomniało, co mi kiedyś mój starzyk opowiadali. Ponoć bardzo dawno temu właśnie w Raciborzu śląskie mieszczyki wynalazły kluski...

– Jak to: wynalazły kluski?

– Mury Raciborza oblegali wtedy Mongołowie, był rok 1241... I wtedy Ślązaczki zrobiły całą masę klusek, ale nie do jedzenia, a po to, by obrzucić nimi oblegającego wroga. Amunicja była tak skuteczna, że raciborski gród się obronił!

– Kobieto, o czym ty mówisz? – przewoźnik nerwowo machnął ręką. – Tu nasze dziecko ratować trzeba, a ty mi tu takie rzeczy opowiadasz... A ja nie wiem, doprawdy nie wiem co zrobić... – westchnął zmartwiony przewoźnik.

– Poczekajmy do jutra. Jakieś rozwiązanie na pewno się znajdzie! – uspokoiła męża staruszka.

Nazajutrz kobieta poszła do sąsiadki, którą wszyscy we wsi szanowali, gdyż była mądra i zawsze służyła dobrą radą. Znała się na życiu i śmierci, potrafiła przygotować takie zioła, które pomagały na wszelkie dolegliwości. Zawsze i wszystkiemu potrafiła zaradzić. Żona przewoźnika szczerze wyjawiała, w jakie problemy uwikłał ich stary mąż. Sąsiadka zastanawiała się tylko chwilę i już znalazła rozwiązanie:

– Słuchajcie, sąsiadko... Trza wam szykować normalnie córkę do ślubu...

– Aleście mi poradzili! Nie ma co! – oburzyła się żona przewoźnika.

– Czekajcie, nie nerwujcie się, to jeszcze nie wszystko! – uspokajała zielarka.

– Gdy już wszystko będzie gotowe, to zaprosicie młodego do domu, ale wpierv wepnijcie swej córce we włosy to poświęcone ziele...

– I to pomoże? – niedowierzająco spytała zafrasowana żona przewoźnika.

– Dobrze by zaradziło też noszenie krzyża, ale widzieliście, kiedy pannę młodą z krzyżem na piersi? Od razu by się utopek zorientował... Można też zarzucić na niego różaniec, ale to przecież też łatwe nie będzie...

– No tak, ja bym się nie odważyła...

– No to sami widzicie, że to ziele z tego wszystkiego będzie najlepsze!

W dniu wyznaczonym na zaślubiny, piękna córka przewoźnika pięknie wystrojona, zdenerwowana i speszona, czekała na swego przyszłego męża. Na sobie miała spódnicę i kaftan w dostojnym, czarnym kolorze. Czarny kolor symbolizował powagę sytuacji, elegancję, a także, tak jak teraz w dniu ślubu, czystość. Na spódnicę włożyła bardzo wzorzysty, żółto-różowo-zielony jedwabny fartuch tej samej długości, co spódnica. Na plecy zarzuciła *szpiegeltuch*, piękną, wełnianą chustę turecką. Ale tym razem w kolorze żółto-zielonym, a nie jak zwykle nosiła, czerwono-żółtą. Zresztą nie miała na sobie ani jednej ozdoby w kolorze czerwonym. W dniu ślubu czerwone ozdoby i czerwone elementy stroju nie wróżyły niczego dobrego.

Natomiast na głowie panna młoda miała dumnie założony duży, szeroki wieniec mirtowy. Był on symbolem cnoty i czystości panny młodej. I właśnie do tego wieńca jej matka wpięła otrzymane od zielarki poświęcone rośliny. Jak się okazało, właśnie tego ziela wszystkie utopce okropnie się bały. Gdy więc tajemniczy młodzieniec wszedł do izby i zbliżył się do wybranki swego serca, od razu wyczuł specyficzny dla siebie zapach. Gdy tylko się zorientował, skąd dochodzi, zabrał nogi za pas i bez słowa wybiegł z chałupy. Nigdy więcej już go w tych okolicach nie widziano.

Córka przewoźnika nie wiedziała o intrydze, jaką uknuli jej rodzice, patrzyła więc z rozpaczą w sercu za uciekającym ukochanym i o mało nie rozplakała się w

głos. Wówczas matula przytuliła dziewczynę do siebie i wszystko jej wyjaśniła. Przy okazji dała córce przestrożę na przyszłość:

– Dziołszko ty moja! Widzisz, nie można ufać wszystkim tym, którzy ładnie wyglądają i godają miłe słówka...

Stary przewoźnik w tym czasie na wszelki wypadek święconą kredą naznaczył kilkakrotnie znaki krzyża na ogrodzeniu swojego obejścia. Dzięki temu już nigdy nie spotkali utopca, a ich córka już wkrótce szczęśliwie wyszła za mąż za przystojnego i zaradnego chłopaka mieszkającego w pobliżu.

K O N I E C

Waldemar Wieszyński